

# Po stycznej



STEFAN GARBIŃSKI

NA WZGÓRZU RÓŻ

## Po stycznej

Wrzecki wyszedł z domu o trzeciej po południu.

Przedsięwziął dłuższą przechadzkę po mieście, by wśród bezcelowego bląkania się po ulicach, przekradania pomiędzy domami zagłuszyć katującą go od miesiąca zmorę myśli, przeciąć pasmo sylogizmów<sup>1</sup>, uparcie rozciągających na torturach biedny mózg neurastenika<sup>2</sup>.

Był rozstrojony do niemożliwości i wrażliwy na najdrobniejsze szczegóły życia wewnętrznego. Przed półrokiem przebył ciężką chorobę umysłową, która rzuciła na gangliony<sup>3</sup> niezatarte ślady swego przebiegu, jak odpływ pozostawia na nadbrzeżnych ławicach wywleczone morszczyzny. Rozgałęziły mu się warstwą przybylczą, zrazu obcą, pasożytną, by po jakimś czasie włączyć się jako organiczne ogniwo i wytworzyć nowe skojarzenia i związki.

Dawniej trochę bezładny w myśleniu, zaczął teraz rozumować z bezprzykładną logicznością aż do męczarni, kształtować całe szeregi najnieprawdopodobniejszych teorii i teoryjek i poddawać się ich sugestywnej pseudooczywistości.

Wytworzył się tu pewien rodzaj wyobrażeń musowych, imperatywnych, którym nie ulec było dłań niemożliwością.

Bez wątpienia przyczyniły się do tego w znacznej mierze zarodki czegoś podobnego już z lat dzieciństwa. Podłoże ich było wtedy religijno-mistyczne. Niespełnienie np. jakiejś błażej czynności, niewykonanie jakiegoś gestu itp. groziło mu ściągnięciem na się kary bożej, potępienia i przeróżnych nieszczęść. Samodrzęczytelstwo to wprawiało go czasami w rozpacz bez granic, gdyż skutą przesądną obawą umysł dziecka nie znachodził nigdzie wyjścia z katowni. W miarę rozwoju inteligencji obłąd mijał. Po przesileniu się nieszczęsnej choroby mózgu powrócił, chociaż w zmienionych znacznie kształtach.

Począł snuć z lodową logiką dzięki poglądy, układać szaleńcze teorematy<sup>4</sup> i wypatrywać, czy przypadkiem nie znachodzą sprawdzianu w życiu go otaczającym. Najsłabszy choćby cień czegoś w tym rodzaju nabierał w rozwydrzonej wyobraźni rysów pełnych, nasyconych i zniewalał go do poddawania się wnioskom stąd zajadle logicznym.

Doznawał dziwnej rozkoszy, ilekroć zdawało mu się, że jego „systematy” zdradzają jaką taką rację bytu.

Niemniej jednak zaznaczyć należy szczegół charakterystyczny, który poniekąd usprawiedliwiał go w niektórych wypadkach: istotnie zdarzały się nieraz okoliczności tego rodzaju, że dostarczały mu tworzywa dowodowego; życie jakby siliło się umotywoać bieg myślowy szczególnego osobnika. Lecz tu zaczyna się rozwiewna rubież słońca i nocy, jasności i mroków, grunt niepewny, torfiasty, wiecznie dymiący oparami, odurzający czadem. — Czy Wrzecki był obłąkańcem? Czy Wrzecki miał słuszność? — Może i jedno, i drugie. Dylemat bez wyjścia.

W gleczerach<sup>5</sup> bytu nieci słońce skrwawe ognie,  
Iglíce szczytów dyszą krwią...

Szaleństwo

<sup>1</sup>sylogizm — rozumowanie przeprowadzone zgodnie z zasadami logiki. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>neurastenik — osoba znerwicowana, o nadmiernie pobudzonym układzie nerwowym. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>ganglion (z łac.) — zwój nerwowy. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>teoremat — twierdzenie wyprowadzone z innych twierdzeń danego systemu naukowego. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>gleczer (z fr.) — lodowiec. [przypis edytorski]

Gleczery bytu kwefy mgieł stuliły,  
Na cyplach ćmi się noc...  
Czy prawdą mgły, czy krew?  
I z słońca mgły się rodzą...

---

Wrzecki już od godziny przecinał przecznice, krążył po najludniejszych placach, chodnikach, wystawał przed sklepami, czepiając się szklanym wzrokiem krzykliwych barw i kształtów...

Dzień był jesienny, przeniknięty szreżogą<sup>6</sup> dymów, wilgocią dżdżu. Z rozchwiei mgieł wysnuwały się jakieś twarze widmowe, maski zagadek, zacięte usta symbolów. Zdawało mu się, że każda z nich patrzy weń ze szczególnym wyrazem, jakby porozumiewawczo, z sennie-nudnym grymasem, poza którym kryła się świadomość prawdy wspólnej, tak dobrze obojgu im znanej, że się nawet nie ma co silić na jej podkreślanie.

Znużyły go twarze: przeszedł na odludną ulicę.

Była wypełniona po brzegi mlecznymi złożami oparów. Szedł ostrożnie, by nie natknąć na latarnię. Po pewnym czasie uczył na plecach czyjąś rękę:

— Serwus, Władek!

— A! to ty!...Nie poznałem — ale bo mgła zakuta!

Wrzecki serdecznie ścisnął podaną mu dłoń.

— Dokąd?

— Do prosektorium.

— A! do trupiarenki, operacyjka? Krajanie nieboszczyka? Co?

— Coś w tym rodzaju.

— Co to za cenny szpargał w kieszeni?

— Rzecz dość ciekawa: *O samozatruciu u węzów*. Problem zajmujący. Kto wie — może i tam bywają tragedie?...

— Hm! Rzeczywiście. Ale ty się widocznie śpieszysz. Do milego zatem!

Pożegnali się. — Wrzecki już miał skrócić w prawo, gdy wtem dogonił go kolega medyk.

— Ale, ale. Korzystaj ze sposobności, dopóki cię znów nie napadnie mania ślęczenia tygodniami w domu. *Mon cher*<sup>7</sup>, radzę ci przejść się po wystawie. Oto akcja<sup>8</sup>. Pyszne rzeczy, na honor! Parę niezrównanych szkiców i pejzaży i nasz stary w gronie asystentów: wściekła gęba! Wszyscyśmy pochwyteni jak złodzieje na gorącym uczynku. Setny chłop! No, serwus!

Wsunąwszy mu w rękę akcję, szybko oddalił się.

Wrzecki machinalnie zawrócił w stronę wystawy. Po jakimś czasie wynurzyło się pytanie:

Co też mu zależało na tym, bym oglądnął obrazy? Także!...

W chwilę później zastanowiła go własna ciekawość co do owych papierów, wyzierających z paltota młodego eskulapa<sup>9</sup>.

A przecież, gdybym się nie był zapytał, nie dowiedziałbym się tytułu rozprawki. Cóż mnie to znowu tak zajęło?

Obok mignęło w przechodzie jak przez sen dwóch mężczyzn o czymś żywo rozprawiających. Doleciał go urywek dialogu.

— Ależ na miłość boską, niewiadomy panu powód szalonego?

— Owszem, mówią, że pojedynek amerykański<sup>10</sup>! Wyciągnął podobno czarną...

Resztę zgłuszył turkot przejeżdżającego wozu, wchłonęła mgła.

Przecież to skończony idiotyzm zdawać się na takie rozstrzygnięcie sprawy — pomyślał.

Pojedynek

---

<sup>6</sup>*szreżoga* (daw.) — lekka mgielka w upalny dzień. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>*Mon cher* (fr.) — mój drogi. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>*akcja* — tu: bilet wstępu. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>*eskulap* (żart.) — lekarz (od zlatynizowanej formy imienia gr. Asklepiosa, boga lekarzy). [przypis edytorski]

<sup>10</sup>*pojedynek amerykański* — pojedynek polegający na losowaniu ofiary, która następnie ma popełnić honorowe samobójstwo. [przypis edytorski]

Uczuł się bardzo znużonym: nerwowy ból głowy dokuczał mu nieznośnie. Usiadł na ławce pobliskiego skweru, wyjął papierosa i zapalił. Miejsce było zaciszne, wokoło przekwitających krzaków róż jesiennych. Drobne, herbaciane płatki, spadłszy z pąkowania, zatrzymały się tu i ówdzie na gałązkach lub rozsypały na trawniku w bezładny ornament. Na prętach dumały ławo krople mgły; zarysowywał się wąski, przejrzysty pasek, opijał wodą, pęczniał, wahał się, by wreszcie stoczyć się wyraźnym kształtem kuli. Coś podchodziło kryjonym ruchem do świadomości, wkradało się coraz dokładniej, natarczywiej... skryształizowało się.

Zastanówmy się. Czyś nie zauważył momentu wspólnego między spotkaniem z Brzegotą a fragmentem posłyszanej rozmowy? Aha! Jesteśmy na tropie. Samozatrucie u węzłów i następstwa wyciągnięcia czarnej gałki. Wybornie! Zachwycająco! Punkty zdradzają stylizację; możemy je połączyć.

Wrzecki był w wysmienitym humorze: zwietrzył materiał dowodowy dla jednej ze swych „teorii”. Specjalny zapal do matematyki nie pozostał i tu bez wpływu na sposób jej ukształtowania.

Wychodząc ze systemu planetarnego, przedstawił sobie graficznie bieg życia rozmaitych jednostek i zdarzeń jako wydłużone elipsy, po których dany osobnik krążył na sposób punktu matematycznego. Linie te stanowiły dla siebie zwarte całości, ze swoistą organizacją, ideą, planem, wyłączną konstrukcją. Elipsy te jak stosunki ludzkie musiały się oczywiście wzajemnie krzyżować, przecinać w najprzeróżniejszych kombinacjach, oddziaływując na się odpowiednio do zgrupowania jednoplanowego<sup>11</sup>; wszystkie bowiem musiały rozpościerać swe skręty li tylko w jednej płaszczyźnie. Elipsy o kierunkach wchrowatych jako wyobrażenia zdarzeń i życiowego biegu jednostek, zupełnie się wzajemnie stykających, nie znajdowały punktów przecięcia. Wśród tej zawilej sieci spostrzegł jednak Wrzecki, że krzywizny mogą się tak ustawić punktami największego rozmachu, że da się przez nie przeprowadzić linia prosta. Będzie nią styczna do elips łącząca ich kończyny poza obrębem pól. Linia chwilowych pozycji, które w najbliższym momencie mają się zmienić na inne, konsekwentne z poprzednimi, pogonić dalej w obranym kierunku własnego ustroju, a przecież w tej jednej chwili służą za punkty oparcia nieubłaganej prostej! Linia zupełnie przypadkowych zdarzeń, śmiesznie bezcelowych zestawień, dziwacznych do bezsensu zbiegów okoliczności.

A jednak Wrzeckiemu przedstawiała się sprawa nieco inaczej: nauczył się dostrzegać pewną stylizację w doborze punktów największych wychyleń. Widział coś więcej poza przypadkowością zszeregowań. Wedle niego można tu było wysledzić specjalny związek, mający na celu coś wskazać, coś odkryć, spełnić jakąś przeznaczeniową rolę wobec tego, czyją uwagę uderzyła wyjątkowa linia. Dotąd Wrzecki pozostawał ciągle w sferze teorii: rozumował. Nie natknął jeszcze na swą styczną w rzeczywistości, chociaż wierzył w możliwość jej realnego istnienia. Życie jego wirowało ciągle jeszcze jak u innych po normalnej elipsie, ulegało cierpliwie dośrodkowym siłom przeciętnych zdarzeń, nie wzbudzającej podejrzeń wynikliwości wypadków, psychologicznych lub mechanicznych następstw. Niemniej był gotów w każdej chwili, za najmniejszym potrąceniem z zewnątrz, wypaść z toru i podążyć z fatalną szybkością po zabląkanej koleinie; przeczuwał, że wtedy odśrodkowe działanie weźmie nad nim stanowczo górę i popchnie go, jak koło wyszłizłe z pasów transmisji, w zawrotne dale. Powłóklby go tam urok niezwykłości i pochlebne sprawdzenie teorii — a może... przeznaczenie. Wrzecki był czcicielem rzeczy tajemnych...

Gdzie mogła zaprowadzić przypuszczalna droga, nie wiedział. Zależałoby to od rodzaju jej punktów wytycznych. W tej chwili miał wrażenie, że poczyna zbaczać; wywnioskował to z dwóch poprzednich zajęć u wstępu do przechadzki. Ciemna siła wytrącała go powoli z przypisanego obiegu i pchała prosto przed siebie. Dokąd — jeszcze nie przeczuwał. Koniec stycznej ginął w nieprzejranych obszarach perspektywy. A może się tylko przedwcześnie ludził? Może skrzywienia tak przecież zbliżone do prostej. — Postanowił być cierpliwym i czekać.

Powstał z ławki i ruszył ku gmachowi sztuk pięknych. Po drodze uzupełniał ostatnie wywody.

<sup>11</sup>jednoplanowy — tu z łac.: umieszczony na jednej płaszczyźnie. [przypis edytorski]

Sprecyzujmy fakta. Obok ideowej ich łączności występują teraz dość wyraźnie okoliczności uboczne. Biegnie tu właściwie podwójna linia więzby. Po co namawiał mnie Brzegota do zwiedzenia wystawy? Widocznie na to, by mnie skierować na ulicę, gdzie miałem spotkać tych dwu nieznanym. Gdybym był poszedł swoją drogą, uniknąłbym spotkania. Oczywiście! Ależ mogłeś dojść do galerii przez plac Zgody! Nie! W takim razie musiałbym się cofnąć bez potrzeby i dużo drogi nałożyć. Nie! Stanowczo należało skręcić w tę stronę. To jasne; stamtąd ta droga była jedyną. A więc Brzegota wprost popchnął mnie w objęcia tych panów. Kropka! Związek wykazowy. Zatem dobrze. Lecz jak u licha mnie to wszystko dotyczy? Do czego zmierza? — Spokojnie, tylko spokojnie! Rzec się wyjaśni.

Przyspieszył kroku. — Zdenerwowanie i naprężona niepewność ujęły go w zwarte kluby. Jakiś ochryply głos przerwał tok dalszego rozumowania: po chodniku zataczał się pijany wyrobnik. Wrzecki chciał go wyminąć, lecz w tym momencie ujrzał przed sobą obrzękłą twarz i mdły obrzask alkoholu uderzył go w nozdrza. Człowiek wytrzeszczył nań krwią zasze białka i jakiś czas wpatrywał się z bezmyślną zadumą opoja. Nagle oczy jego przybrały wyraz piekielnego przerażenia; odsunął się gwałtownie i zaczął bełkotać na pół otrzeźwiony:

— Walek! Chryste Boże! A ty tu co robisz? Ludzi po dniu straszysz? Szczezaj, maro!

— Tylko bez głupstw! Proszę mi zejść z oczu, bo wezwę stójkę<sup>12</sup>! No! Słyszał!

Na dźwięk ludzkiego głosu pijak oprzytomniał zupełnie.

— No, niech się pan ta nie gniewa. Nie ma czego. Sumiennie mówię, nie ma czego. Przywidziało mi się. Zwyczajnie przy niedzieli człek troszkę schlany. Ale bo też panisko podobniusięńki, jak dwie krople wody, do Walka. Jeno że z pańska ubrany, no i kapkę gładszy. A to chłopisko całe życie łąziło w łachmanach. Dalibóg! Tak samusięńko wyglądał z pyska, jak go oderznięli z haka. Widzi pan — powiesiła się bestia z głodu.

Wrzeckiemu zrobiło się nieswojo. Chciał już zboczyć w sąsiedni pasaż, lecz zarobnik, zmierzający snadz<sup>13</sup> w tymże kierunku, począł go prosić z uporem pijaka:

— Niechże pan z łaski swojej nie idzie za mną w te pędy. Tak mi głupio jakoś, jakbym śmierć miał na karku. Lepiej już rozejdźmy się. O! tędy wolna droga... — i przepuścił go mimo w wąski zaułek, o parę kroków dalej. By się pozbyć natręta, ustąpił. Robotnik zanurzył się w podsienia przechodniej bramy.

— Popędził po swojej elipsie — mruknął odruchowo Wrzecki. — Podążył wyznaczonym sobie ściegiem. Dla niego to tylko nic nie znaczący epizod. Nawet nie domyśla się swej roli w ubiegłej sekundzie.

Otarł czoło; było złane zimnym potem. Obudził się instynkt samozachowawczy.

Sprawa zaczyna być zanadto wyraźną, znaki rzucają się na spotkanie ze zbyt szczerym wylaniem<sup>14</sup>.

Na mgnienie oka zabłysnął mu w oślepiającej jasności koniec opętańczej linii. Lecz starał się zgasić wizję wywodem:

Ależ to mnie nie dotyczy! I cóż stąd, że się temu pijanemu łąędzie przewidział we mnie jakiś tam wisielec? To stanowczo mnie nic nie obchodzi, zawsze miałem wstręt do podobnej śmierci.

Wkrótce jednak uznał niedostateczność racji i przeciągnął linię po punkt trzeci. Był niemal zrezygnowany i dawał się powoli zasugestionowywać nowo odkrytej drodze. Wśród tego nie uszło jego czujnej uwagi, że właściwie nie może już zwiedzić wystawy, bo zboczył, poddając się uporowi pijaka. Umocnił się tedy w przekonaniu, że w samej rzeczy nie chodziło bynajmniej o to, by podziwiał imponującą grupę młodych lekarzy z obrazu, lecz by umożliwić mu dwa najbliższe spotkania; gdy te przyszły do skutku, potrącono go znowu w innym kierunku. — Przeźrocze szale motały się na przyczołach kamienic, wieszaly w wykrojach nieba między dachami.

Przez wąż ich tkaninę wnikały w parowy ulic lśnienia słońca nieśmiałe, zmatowane.

To szczególne! Właśnie teraz, gdy i sprawa zaczyna nabierać plastyki konturów. Czyżby i to pozostawało w związku?

<sup>12</sup>stójka (daw.) — policjant. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>snadz (daw.) — widocznie. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>ze zbyt szczerym wylaniem — zbyt wyraźnie, zbyt demonstracyjnie. [przypis edytorski]

Dostał nerwowej drgawki koło powiek. Nogi poczęły wykonywać niezależne już od woli powiewne ruchy; przed oczyma ćmiły się wiotkie szare płyty. Z trudem dowłókl się do odkrytej werandy jakiejś kawiarni i ciężko obsunął się na kozetkę. Podano mu dzienniki i czarną kawę. Wychylił szklanek łączywie i wglębił się we wstępny artykule „Figara”. Coś mu przeszkadzało, nie mógł czytać swobodnie. Parę razy już odwrócił głowę i kręcił się niespokojnie na miejscu, daremnie usiłując otrząsnąć się. Wyczuwał nerwami czyjs wzrok na sobie. Wreszcie otwarcie zwrócił oczy w stronę, skąd go niepokojono. Dopiero teraz spostrzegł za stolikiem na prawo starszego już mężczyznę w żółtawym haweloku<sup>15</sup>, z szyją owiniętą szczelnie almawiwą<sup>16</sup>, który znać już od dłuższego czasu przypatrywał mu się z obrażającą ciekawością. Fizjognomia<sup>17</sup> nieznajomego łączyła w dziwnej zgodzie sympatyczność z oryginalnością. Pomarszczona, wyżółkła jak pergamin twarz, z szerokimi ustami, bez śladu zarostu, była stale nieruchoma jak maska starożytnego aktora: skóra na skroniach jakby przyschła do kości, które pod światło połyskiwały trupio-matowym lśnieniem. Wyglądał na uczonego podczas obserwacji dokonywanej na ciekawym okazie. Spod krzaczastych brwi wzywały oczy specjalnej, zielonawożółtej barwy; tysiące fosforyzujących igiełek drgało tam szybkozmiennym ruchem jak w iskierniku baterii, nadając źrenicy wyrazu świetlanej przenikliwości; oczy te wżerały się literalnie w ciało i przepatrywały je na wskroś do najdrobniejszego włókienka.

Oko

Wrzecki zauważył, że nieznajomy nie patrzy mu w oczy, lecz studiuje raczej jego głowę na poziomie czoła. Już chciał podnieść się i zażądać wytłumaczenia od natręta, gdy ten wyprzedził go i wstawszy od stołu, począł krok za krokiem zbliżać się ku niemu, nie spuszczać oka z obranego punktu na czaszce. Wreszcie zatrzymał się tuż przed Wrzeckim i odezwał:

— Winszuję, serdecznie winszuję! To było celnie, co się zowie! Pi, pi, pi! I gdzie trafione! W sam ośrodek wzroku — po przejściu przez wyrostek szyszkowy. Panie — to było arcydzieło w swoim rodzaju! No — przyznaj się pan — oślepeś na dobre! Ho, ho, ho! Co widzę? *Krupp et Compagnie*<sup>18</sup>! Średnica 9 mm, płaszcz stalowy prima sorta<sup>19</sup>. — No, no, winszuję — w centrum wzroku, ni na milimetr w bok...

Wrzecki nie rozumiał. Był tylko silnie podrażniony dziwną przygodą — tym bardziej że zwróciła uwagę gości, których grupa otoczyła jego tabletkę<sup>20</sup>. Wreszcie wykrztusił dławionym przez wściekłość głosem:

— Garson<sup>21</sup>! Uwolnić mnie od tego wariata!

Lecz rozkaz okazał się zbytecznym. Nieznajomy, z palcem wyciągniętym ciągle ku jego czołu, począł cofać się powoli ku drzwiom, aż zginął w sąsiedniej sali. Widownia również rozprószyła się; tylko jakiś chudy, z angielska zakrojony gentleman nie ruszył się z miejsca, uśmiechnięty pod wąsem; robił wrażenie kogoś, który był niejednokrotnie świadkiem podobnych scen. Skłonił się lekko Wrzeckiemu i bez zapytania, zajmując obok krzesło, zagadnął:

— Jak widzę — nie sprawił panu szczególnej przyjemności występ wujcia Edzia?

— Czy mówi pan o tym wariacie?

— Właśnie. Nazywamy go wujciem Edziem; postać w naszej kawiarni powszechnie znana. Zachodzi tu w każdą niedzielę i święta. Fenomenalne połączenie sensytywa<sup>22</sup> i szaleńca.

— Sensytywa?

— No tak. Musiał pan chyba słyszeć o tych wyjątkowych zdolnościach u pewnych anomalii; przed takim osobnikiem leży siatka nerwów, mięśni, system kostny, słowem, cały organizm ludzki jak mapa dróg kolejowych: przenika człowieka na wylot. Wujcio Edzio, niegdyś wcale tegi lekarz, dorobił się, dzięki swej specjalnej zdolności, kolosalnej fortuny. Używano go do introspekcji przy operacjach; oddawał olbrzymie usługi. Potem

<sup>15</sup>hawelok (z ang.) — rodzaj płaszcza męskiego. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>almawiwa (z hiszp.) — rodzaj szala a. peleryny. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>fizjognomia (daw.) — twarz. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>*Krupp et Compagnie* (fr.) — Krupp i Spółka (firma produkująca działa). [przypis edytorski]

<sup>19</sup>prima sorta — najlepszego gatunku. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>tabletko (z fr.) — stolik. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>garson (z fr.) — kelner. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>sensytyw (z łac.) — osoba nadwrażliwa. [przypis edytorski]

nagle zwariował. Odtąd dostrzega w swych pacjentach niemożliwe rzeczy. Tak np. u mnie skonstatował w komorze sercowej ni mniej, ni więcej, tylko istnienie mikromilimetrycznej żabki. Dobry sobie, co? U pana znowu dopatrył się w zwojach mózgowych...

— Czego?... — Wrzecki drżał z niecierpliwości.

— Jak to? Na serio nie rozumiał pan nic z jego gadaniny? Prawda, że wujcio Edzio lubi tajemniczość i ubiera swą diagnozę we formy pytyjskie<sup>23</sup>: dlatego potrzebuje interpretacji. Otóż u pana znowu zauważył w korze mózgowej po mistrzowsku wpędzoną kulę...

— Kulę?

— Ależ naturalnie, *Krupp et Comp.* — przecież to pierwszorzędna firma amunicji. Co to panu? Pan poblądł? No, nie bądźże pan dzieckiem! Także coś! Przejmować się bredniami starego bzika!

— Ma pan słuszność... zapomniałem się. Dziękuję za wyjaśnienia. Garson! Dwa szampany! Pozwoli pan, że naleję?...

Wychylił parę szklanek. Wrzecki nadaremnie starał się upić. W końcu zapłacił, pożegnał się z uprzejmym anglomanem i wyszedł.

Wyjaśniło się prawie zupełnie. Wzdłuż gzymsów murów, między szczytami drzew, po kopułach snuły się taśmy mgieł, rozwiewając się w przestworzach błękitu. Poprzez rozcieńczone żgła wcedzało się zachodowe słońce coraz soczystszą, dostalszą zabarwą. Wprost fizycznie odczuwał bolesne, rażące jego dotknięcia i wsuwał się skwapliwie między najciemniejsze zaułki pod ochronę cienia. Wyłoniła się jakaś nieuchwytna łączność między stopniowym wygrazaniem się słońca z oprzędzy mgieł a coraz wyraźniej zarysowującymi się konturami u kresu szalonej stycznej. Tempo, w jakim obraz nabierał wyrazistości, wydało mu się stanowczo za szybkie; z ochotą by je zwolnił, gdyby to od niego zależało. Tak dotąd było dobrze błędzić między kotarami mglistych opon<sup>24</sup>, tak ponętnie przemykać się nad krawędziami drzemających co krok przepaści... Lecz igraszka miała się ku końcowi: spoza zasłony poczęło przeglądać kuszone daimonium<sup>25</sup>, by ukarać niepokojącego je śmiałka. Na wargi cisnął się gwałtem jeden wyraz, jedna definicja, która by określiła dotychczasowy bieg faktów. Wyrwała się na usta, dobywała przemocą do świadomości — lecz usiłował ją zawrócić tam, gdzie wzięła początek. Nadaremnie! Słońce gonilo w ślad, prażyło oczy, twarz, głowę, miotało zabójcze razy w piersi. Stał na rogu jakiejś ulicy niepewny, dokąd się zwrócić. Gdzieś z czeluści bramy błysnęła mu para roznamiętnionych twarzy.

— Rozstajna 30.

— Dobrze, przyjdę. Jakaś ty dobra, jakżeś bezmiernie dobra...

Machinalnie powlókł się pod wskazanym adresem. Raz jeszcze zrobił rozpaczliwy wysiłek samoobrony.

— Po co ja właśnie tam idę? Ha, ha! *Die verhängnisvolle Gasse*<sup>26</sup> — co?

Mimo to pędziło go w tamtą stronę. U zakrętu podniósł przypadkiem głowę; wzrok padł na wielki, błękitny afisz. Przebiegł punkt pierwszy programu:

„Signora Bellestrini, primadonna scen włoskich, odśpiewa jako przygrywkę: «Pepito, ach, tam wskażę ci, co czynić masz! Pepito, ach, ach, tam»” etc.

Dosyć. To wystarczy. Reszta niech służy do użytku publicznego.

W kwadrans później wstępował w klatkę schodową podanego numeru. Dom był trzypiętrowy: nasunęły się pewne wątpliwości co do piętra.

Nic nie będzie z tej głupiej farsy, jeśli nie będę miał dokładnej wskazówki! — postanowił twardo.

W tejże chwili dało się słyszeć skrzywienie stopni z dołu; ktoś biegł za nim po schodach i minął go.

— Może to przewodnik?

Tamten tymczasem wstępował już na drugie piętro.

Zatrzymał się na platformie. Wrzecki poszedł za nim.

<sup>23</sup>pytyjski — tajemniczy (od imienia Pytii, kapłanki w wyroczni Apollina w Delfach). [przypis edytorski]

<sup>24</sup>opona (daw.) — zasłona. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>daimonium (gr.) — demon a. głos wewnętrzny. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>*Die verhängnisvolle Gasse* (niem.) — fatalna ulica. [przypis edytorski]



Na korytarzu drugiego piętra zastał nieznanego, jak odczytywał na drzwiach czyjąś wizytówkę. W chwili gdy Wrzecki dosięgnął ostatniego stopnia, odwrócił się ku niemu i popatrzył mu prosto w oczy, po czym natychmiast zaczął się wspinać na trzecie schody.

— Dziękuję! — krzyknął niemal Wrzecki, który w spojrzeniu obcego dostrzegł szczególny, jakby porozumiewawczy wyraz.

Więc to tutaj... Przysnąć jednak potrzeba, że pilnują mnie do ostatniej chwili. Co za usłużność — proszę!

Bez wahania otworzył drzwi, pod którymi parę chwil temu zastał „przewodnika”. W tejże sekundzie rozległ się w głębi mieszkania suchy trzask. — Wszedł do środka: w blaskach zachodu wlewającego się strugami w pokój stał młody człowiek z lufą rewolweru skierowaną ku czołu; widocznie w chwili wejścia Wrzeckiego usiłował strzelić, lecz broń odmówiła posłuszeństwa. Spostrzegł wchodzącego, jak skamieniały, nie zmienił pozycji. — Wrzecki ze skrzyżowanymi rękami studiował go:

— Pyszny obraz! Co za dokładność w liniach, wykończenie w szczegółach i oświetlenie, przede wszystkim to oświetlenie... Ależ pan jest niezrównanym typem — pardon! — modelem samobójcy! Co mówię! — Z pana sobowtór prasamobójcy!...

Wyrwał mu gniewnie z ręki rewolwer.

— No, dość tego! To nie dla pana zabawka! Kochany pan się pomylił. Ale to nic nie szkodzi. Inaczej nie mógłbyś spełnić swej roli. Co? Powie mi pan o zawiedzionej miłości lub długu honorowym? Fraszki, młodzieńcze, fraszki! Miałeś być tylko obrazem, symbolem dla kogo innego! Rozumie kochany pan? Dlatego maszynka spudłowała. „Pepito, ach, Pepito, ach, tam wskażę ci, co czynić masz”.... Wesola aryjka, nieprawdaż?

Obejrzał magazyn.

— Aha! starczy jeszcze na jeden strzał. Świetnie! Wie pan — to będzie zabawne *qui pro quo*<sup>27</sup>...

Zmarszczył czoło:

— Ale, ale! Pan może mieć pewne nieprzyjemności — zawsze to w pańskim mieszkaniu... Wie pan co... powiesz im, że przyczyną była: stylizacja przypadku... a pan byłeś jej ostatnim, szczytowym punktem... Tak, tak pan powie... I pomyśleć tu, że gdybyś się tak był zdecydował parę minut wcześniej, no, no! — Spojrzał na zegarek, równocześnie odwodząc kurek. — Szósta. A jednak ja sam, wychodząc dziś o trzeciej z domu, nie byłbym nigdy przypuścił, że za trzy godziny...

— Co??

— Ot, co!... — Błyskawicznym ruchem przyłożył sobie lufę do skroni i pocisnął. Tym razem broń nie zawiodła: runął martwy w słoneczny ekran posadzki.

<sup>27</sup> *qui pro quo* (łac.) — nieporozumienie, pomyłka co do osoby. [przypis edytorski]



---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/grabinski-na-wzgorzu-roz-postycznej>

Tekst opracowany na podstawie: Stefan Grabiński, Nowele, Wyd. Literackie, Kraków 1980.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Pauliny Choromańskiej. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Patrycja Józwiak, Paulina Choromańska, Paweł Kozioł.

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.